



Krzysztof Kozłowski
w redakcji „Tygodnika
Powszechnego”, 2005 r.

Polityka z tygodnika

Był pierwszym ministrem spraw wewnętrznych po upadku PRL i senatorem kilku kadencji. Ale najpierw i najdłużej był redaktorem. Biografia Krzysztofa Kozłowskiego to opowieść o bardzo szczególnej drodze do wolności.

WIESŁAW WŁADYKA

Redaktorem nie w byle miejscu, bo w krakowskim „Tygodniku Powszechnym”, piśmie katolików świeckich, wydawanym pod auspicjami krakowskiej kurii. Tygodnik wychodził od 1946 r., a jego naczelnym był Jerzy Turowicz. Z przerwą „stalinowską”, gdy pismo zostało przeniesione karnie do Warszawy i oddane w ręce Bolesława Piaseckiego, by po Październiku '56 wrócić do Krakowa, na ulicę Wiślną i do starego zespołu autorów i redaktorów. To wtedy do „Tygodnika” przyszedł Krzysztof Kozłowski, filozof po studiach na KUL, i został w nim na lata.

Pochodził z rodziny szlachecko-ziemiańskiej, katolickiej, z silnym patriotyzmem, niepodległościowo-państwowym etosem. Ojciec Krzysztofa był posłem sanacyjnym, a stryj Leon sanacyjnym ministrem rolnictwa, premierem rządu, senatorem. Należeli do piłsudczykowskiej elity – z wszystkimi jej wadami po

1926 r., a już zwłaszcza w latach 30. Tak czy inaczej polityka była obecna w rodzinie Kozłowskich, co autor biografii „Kocio, Kocioł, senator” Andrzej Brzeziecki pokazuje, nie szczędząc też opinii krytycznych. Zwłaszcza wobec stryja Leona, który założył Berezę Kartuską i był oskarżany o kolaborację z Niemcami.

Urodzony w 1931 r. Krzysztof przeszedł razem z rodziną drogę typową dla jego klasy społecznej, doświadczoną, jak i inni Polacy, okrucieństwem wojny. Dla tej klasy społecznej traumatycznym doświadczeniem były powojenne reformy nowego ustroju, a zwłaszcza reforma rolna i w związku z tym utrata majątku rodzinnego w Przybysławicach. Krzysztof ląduje w Krakowie z jakimiś resztówkami po przeszłości, w biedzie, choć czasami zdobionej starymi meblami i szerokimi koneksjami środowiskowymi. Uczy się, dostosowuje, ale do nowych porządków i ofert ma stosunek nieufny i krytyczny. Zwłaszcza że okazuje się, że – ze względu na pochodzenie i polityczne zaangażowania ojca i stryja – nie może studiować prawa w UJ i musi jeździć do Lublina.

Jego przyjsie do „Tygodnika” jest więc konsekwencją takiego, a nie innego studiowania, efektem koneksji rodzinnych i towarzyskich, w Krakowie także salonowych, gdyż „bezeci” – tak ich nazywano, ponieważ zostali bez majątków i ziemi, ale zachowali styl i maniery, nieraz irytującą wyniosłość – trzymali się razem.

„Tygodnik Powszechny” był, można powiedzieć, naturalnym miejscem przebywania Krzysztofa Kozłowskiego także, a może przede wszystkim, za sprawą jego linii światopoglądowej i politycznej. Pozostając z dystansem, a czasami w oporze wobec rządzących w Polsce i narzucanych ideologii oraz polityki, jednocześnie przyjmował rzeczywistość jako zastany faktyczny stan rzeczy, z którym nie sposób się nie liczyć. Należy zatem szukać tego, co jest do przyjęcia, nawet do aktywnego zaakceptowania, jak choćby pozytywne skutki tzw. awansu społecznego czy przejęcia przez Polskę ziem zachodnich.

To było źródłem wieloletnich napięć aż po rok 1989 i nawet później między „Tygodnikiem” a Jerzym Giedroyciem (mimo wielkich wzajemnych sympatii). Andrzej Brzezicki pisze: „Cele były te same, lecz obydwa środowiska różniły metody. A przede wszystkim geografia. To, co wydawało się możliwe z perspektywy Paryża, nad Wisłą okazywało się nierealne”.

Chodziło jednocześnie o to, by wprowadzać do obiegu publicznego, niejako w kontrze, a na pewno na zasadzie alternatywy, wartości pozostające poza obiegiem dominującym w kulturze i polityce. Jak mówił Paweł Jasienica jeszcze przed 1948 r., żeby w Polsce obok obowiązkowego Majakowskiego znalazły się ślady kultury śródziemnomorskiej. I oczywiście katolickiej.

Ten zbiór przekonań i ich demonstrowanie nazywano czasami neopozytywizmem politycznym, bo to była polityka o długofalowym znaczeniu. Limitowana i koncesjonowana, ale jednak. Nie bez przyczyny „Tygodnik” uważano przez wiele lat za legalne, opozycyjne pismo o wyjątkowej pozycji i wielkiej popularności, a jego autorzy i redaktorzy cieszyli się szacunkiem i estymą. Lista nazwisk jest długa, układana przez wiele lat, choćby felietoniści Stefan Kisielewski „Kisiel”, Antoni Słonimski, Piotr Wierzbicki, Jerzy Pilch...

Oczywiście istnienie „Tygodnika” było możliwe dlatego, że władze musiały się liczyć z siłą Kościoła w Polsce, a ten jak np. w 1956 r. zabiegał o powrót gazety ponownie pod swoje skrzydła. Później ta opieka wielokrotnie była zbawienna, mimo że wobec pisma nie brakowało różnych form opresji, a też relacje redakcji z hierarchami bywały chłodne, mówiąc eufemistycznie.

Krzysztof Kozłowski szybko się na Wiślniej zakorzenił, doszedł do funkcji zastępcy redaktora naczelnego i faktycznie stał się dla Jerzego Turowicza głównym partnerem w prowadzeniu pisma. Kozioł, jak go nazywano w redakcji, może na zewnątrz nie był za bardzo widoczny, mało bowiem pisał, był przede wszystkim siłą wewnętrzną zespołu. Czytelnicy z reguły nie mają szansy docenić redaktorów, którzy są anonimowi, ale przecież na co dzień dbają o swoje gazety, zamawiają teksty i je odrzucają, najpierw je często wymyślają, potem poprawiają, użerają się z autorami, łagodzą wewnętrzne konflikty, organizują prace swoich kolegów, uczą młodszych zawodu. Pilnują całego procesu produkcyjnego. Od tekstu do druku. W tamtych czasach trzeba było stać przy drukarzach, a też się do nich przymilać, bo dużo od ich pracy i dobrej woli zależało. Jak mówił sam Kozłowski, to przymilanie opłacał bólem wątroby. Panowała zatem opinia, że dobry redaktor jest wart tyle, ile waży. Dodajmy, że każda redakcja ma swoją technikę jazdy, swój styl i swoją kulturę pracy, a redaktorzy są po to, żeby tego pilnować.

Na Kozłowskiego spadły jeszcze inne obowiązki. Odpowiadał za cotygodniowe kontakty z cenzurą i nieustanne wyklócanie się o teksty i o konkretne zdania. „Kilkadziesiąt swoich najlepszych lat spędziłem na tym idiotycznym użeraniu się z cenzurą, a chodziło głównie o minimalizowanie strat”. To minimalizowanie oznaczało pójście na liczne kompromisy, coś za coś, na tłumaczeniu się później przed poturbowanymi autorami. Jak wynika z dokumentów, przykładowo w 1963 r., cenzura zdjęła z „Tygodnika” 41 tekstów, a w tekstach puszczonej dokonano 401 ingerencji. Takie przykrości i dolegliwości przeżywały w PRL bez mała wszystkie redakcje, także POLITYKA odnosiła ciężkie rany dręczona przez cenzurę na równi z „Tygodnikiem”.

Służba Bezpieczeństwa oczywiście inwigilowała redakcję i wydawnictwo „Tygodnika”, próbowała pozyskać źródła informacji, nie bez pewnych efektów (aczkolwiek donosili przede wszystkim ludzie z zaplecza i administracji; zachowały się donosy). Redaktorzy byli wzywani na przesłuchania. Niekoniecznie z urzędu, z pełną wiedzą zespołu, a także kardynała Karola Wojtyły, delegowano do tych rozmów Mieczysław Pszona i Krzysztof Kozłowski. Józefa Hennelowa pisał, że kardynał „był na bieżąco informowany o tym, czego próbuje ubecja i jak my na to odpowiadamy”. Sam Kozłowski wspominał: „musiałem dosłownie ►

Od lewej: Krzysztof Kozłowski (stoi w centrum) podczas głosowania w Sejmie na Wojciecha Jaruzelskiego jako prezydenta RP (przeszedł jednym głosem), 19 lipca 1989 r. Redaktor w siedzibie „Tygodnika Powszechnego” z Jerzym Turowiczem i ks. Józefem Tischnerem, Kraków, 1995 r.



► za każdym razem toczyć beznadziejną dyskusję wokół dwu tematów, po co wam kontakty z KOR-owcami i po co wam kontakty z Niemcami. Były pogrożki i szykany, mające nam obrzydzić owe »niepatriotyczne« kontakty». I jeszcze: »niekiedy były rozmowy, niekiedy wrzaski».

Roman Graczyk, były sekretarz redakcji „Tygodnika” i przyjaciel Kozłowskiego, wydał w 2011 r. „demaskatorską” książkę „Cena przetrwania?”, która w ogóle stawiała znak zapytania nad całą peerelowską historią „Tygodnika” z tezą, że cena była za wysoka. Ale co gorsza stwierdził, że kilku redaktorów, wymienionych z nazwiska, mogło pójść na bliższą współpracę z SB, choć też przyznał, że są to „słabe hipotezy”. Kozłowski ostro skrytykował Graczyka, wystąpił w obronie kolegów. A tak w ogóle, mówił: „Byłem od brudnej roboty: cenzury, bezpieczeństwa, nawet wysłano mnie jako korespondenta na jeden ze zjazdów PZPR”.

Cieszył się zaufaniem kolegów. Jako sporo młodszy od ojców założycieli pisma, był naturalnym liderem młodszego pokolenia czy raczej pokoleń, bo redakcja była zasilana przez kolejnych juniorów. A też jego pozycja i naturalny autorytet nakładały na niego obowiązki reprezentowania pisma w kontaktach na zewnątrz, z różnymi środowiskami i postaciami, coraz częściej w Warszawie. Zawiązywały się przyjaźnie, tym bardziej że wraz z upływem czasu i wraz z postępującą erozją systemu, wobec którego stanęła opozycja demokratyczna, „Tygodnik” także przechodził na coraz wyraźniejsze pozycje opozycyjne i szukał wyjść, jak to mówili, z getta katolickiego.

Kozłowski pisał rzadko, ale do historii czasopiśmiennictwa na pewno przeszedł jako autor „Obrazu Tygodnia”, prowadził tę rubrykę prawie przez trzy dekady. Była to wizytówka i znak firmowy pisma. Ten cotygodniowy przegląd wydarzeń w kraju i na świecie składał się z notatek, które w sposób przemyślany tworzyły kompozycję informacyjną, a notatki tak były dobierane i pisane, by budować i wywoływać aluzje, skojarzenia, tak swoje powiedzieć, by cenzura nie mogła się przyczepić. Dlatego też Kozłowski z upodobaniem czytał organ prasowy PZPR, czyli „Trybunę Ludu”, od deski do deski, i zawsze coś dla siebie znalazł, a cenzorowi mógł wskazać konkretną stronę „Trybuny” i wyrzucić mu, że nie czyta organu.

Pozycja „Tygodnika” i jego redaktorów była tak poważna, że Kozłowski razem z Turowiczem zasiadł przy Okrągłym Stole. Mówił później, że redagowanie na Wiślniej to było robienie polityki przy pomocy dostępnego instrumentu. Teraz polityka upomniała się o niego wprost. Był aktywnym uczestnikiem obrad i dyskusji w podstolikach, ostro stawiał kwestię cenzury i monopolu wydawniczego partyjnego koncernu RSW, także prawa do zakładania własnych mediów, tytułów prasowych dla strony społecznej. Był twardym i kompetentnym negocjatorem. Ale to był dla niego dopiero początek udziału w wielkiej polityce.

Niebawem jego przyjaciel Tadeusz Mazowiecki zaprosi, a raczej – co podkreślał z rozbawieniem – nakaże mu objęcie stanowiska wiceministra spraw wewnętrznych przy Czesławie Kiszczaku. „Zastanawialiśmy się – pisała Józefa Hennelowa – jak Tadeusz Mazowiecki mógł nam zabrać kolegę i świetnego redaktora”. Gdy po kilku miesiącach doszło do przemeblowania rządu, co polegało między innymi na usunięciu z jego składu generałów, Kozłowski został szefem resortu. Przez dziewięć miesięcy urzędowania wykonał tytaniczną, bez mała rewolucyjną pracę. Przejął i opłacał jedno z najważniejszych ministerstw w państwie, przeprowadził w nim gruntowną zmianę personalną, także w policji i służbach specjalnych.

Z troską odnosił się do wywiadu i kontrwywiadu – w uruchomionej akcji weryfikacyjnej poszukiwano funkcjonariuszy, którzy

dawali rękojmię, że będą służyli nowemu państwu wiernie i lojalnie. Byli po prostu potrzebni ze względu na swoje kwalifikacje. I ci, którzy dostawali szansę, w przeważającej mierze zasilili kadry powstałego Urzędu Ochrony Państwa, a następnie specjalnej i bojowej jednostki Grom. To były osiągnięcia bezsprzecznie duże, nie uchroniło to jednak Kozłowskiego przed oskarżeniami, że prowadził politykę „okrągłostołową”, że za pomocą grubej kreski umożliwiał komunistom wdarcie się do III RP. Ostatnio te zarzuty powtórzył prof. Andrzej Nowak.

Lista dokonań i wyzwiań była długa. Przyczynienie się do powstania Ośrodka Badań Wschodnich, udostępnienie archiwum MSW, przeprowadzenie operacji Most (przerzucanie Żydów z ZSRR do Izraela), walka z nowymi rodzajami przestępczości, rozpoczęcie nowych dochodzeń w sprawach, wydawało się, że już zamkniętych, jak choćby w sprawie śmierci Przemysła, wreszcie próby obnażenia procederu palenia akt pod rządami gen. Kiszczaka.

Gdy po przegranych wyborach prezydenckich Tadeusz Mazowiecki podał się do dymisji, także Kozłowski odszedł z rządu i wrócił na Wiślną. Mówił: „jestem w swoim miejscu”.

Ono się jednak zmieniło. W „wojnie na górze” redakcja opowiedziała się za Mazowieckim, a redaktor naczelny zaangażował się w inicjatywy polityczne związane z byłym premierem, a prowadzące z czasem do utworzenia Unii Demokratycznej. To oznaczało nie tylko konflikt z Lechem Wałęsą, ale także z Kościołem, jego hierarchami i z wieloma parafiami. Tygodnik zaczęto nazywać katolewicą, przestano kolportować pismo przez parafie, aż wreszcie przyszła nagana z Watykanu. Z okazji 50-lecia „Tygodnika” papież napisał list gratulacyjny, w którym znalazł się wyrzut, że Kościół „nie czuł się dość miłowany” przez krakowskie katolickie pismo.

To był kłopot, tym bardziej że „Tygodnik” przestał być jakimś nadzwyczajnym bytem prasowym jak za PRL, miał kłopoty finansowe, a w samej redakcji nasilały się konflikty, wielu młodszych redaktorów kontestowało linię Turowicza i Kozłowskiego, chciało bardziej radykalnie i na prawo. Zjawisko to nasiliło się, gdy przed śmiercią Jerzy Turowicz wskazał na swojego następcę ku powszechnemu zaskoczeniu ks. Adama Bonieckiego. Domniemywano, że była to próba załagodzenia stosunków z Kościołem.

Za tym poszły dalsze zmiany, polityka personalna nowego redaktora naczelnego doprowadziła do opuszczenia pisma przez wiele znakomitych postaci, w tym Władysława Bartoszewskiego, Marcina Króla. Swoimi drogami do POLITYKI przejdali się Jerzy Pilch, Adam Szostkiewicz, Krzysztof Burnetko. Etapami z poczuciem skrzywdzenia z pisma i wydawnictwa odchodził też Krzysztof Kozłowski.

Jako senator i jeszcze jako redaktor brał aktywny udział w debatach publicznych lat 90., także w pierwszej dekadzie XXI w. Konsekwentnie zwalczał dziką lustrację i dekomunizację. Bał się IPN, protestował przeciwko opisywaniu przeszłości z perspektywy akt bezpieczeństwa. Bronił do upadłego dorobku III RP. Był blisko Unii Demokratycznej, lecz do niej nie należał. Zachowywał dystans tak wobec lewicy, jak i prawicy, sam nazywał się centrowcem, a już przede wszystkim państwowcem i obywatelem. Droga, jaką szedł przez PRL, służba, jaką pełnił w „Tygodniku”, zostały konsekwentnie przedłużone w Polsce, która zdobyła szansę na wolność i demokrację.

WIESŁAW WŁADYKA



Andrzej Brzeziecki, **Kocioł, Kozioł, senator.** Biografia Krzysztofa Kozłowskiego, Wydawnictwo Znak, Kraków 2022, s. 512